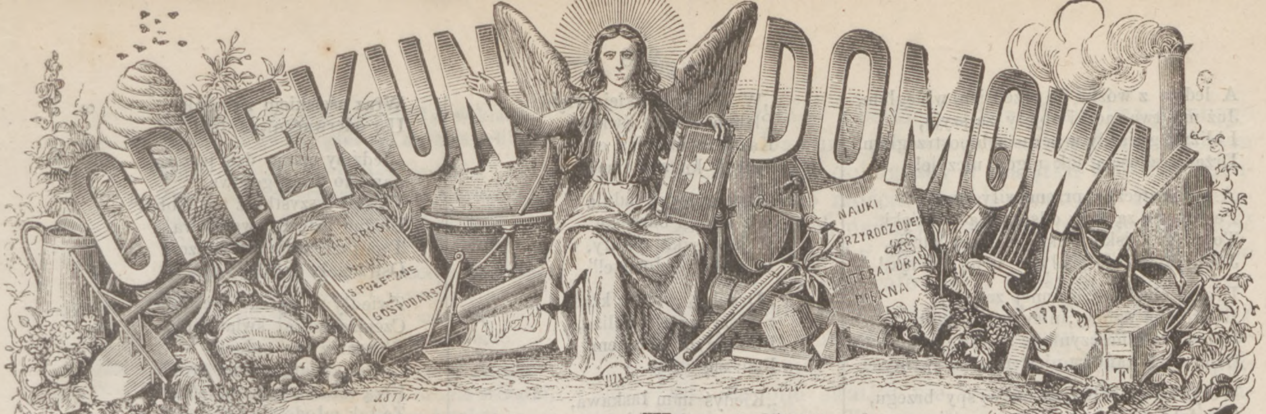


Warszawa dnia 11/23 Września 1868 roku.

Nr 38. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie.
Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

TREŚĆ. Bluszcz na grób Frani, poezja przez *Jakóba Zakrzewskiego.* — Świetne wychowanie i szkoła nieszczęścia, przez *Adama Pługa* (c. d). — Podróż nad Wartę, przez *Franciszka Gumowskiego* (c. d).—Tanie złoto, przez *Zygmunta Gawareckiego.*—Praca i zdrowie (dokończenie). — Wiśnia — Myśli i Zdania.





BLUSZCZ NA GRÓB FRANI.

I.

Znowuż cię widzę, ustronna dolino,
U podgórskiego rozścielona stoku,
Leśną i sadów okryta drzewiną,
Z błękitną wstęgą rozwitą u boku.

Po wzgórzach gęste o miedzę zagrody,
Tu owdzie szczeknie wierny stróż kudłaty;
W sadach śliwiny, na wieczorne chłody
Dymią strzechami przygarbione chaty.

Widzę już dworek nad Białą drewniany,
Wiotkiej akacji ocieniony wiankiem,
Z omszonym dachem, bielonemi ściany,
I od przyjazdu wystającym gankiem.

Nim dwie topole otworzą mi wrota,
Minę na prawo pagórek kaplicy,
Gdzie żółte grabki, jak korona złota,
Wieńczą do późna skroń Bogarodzicy.

Też same ścieżki, gdzie powój, malina,
Gdzie astr jesienny i stokrótki wczesne;
I ta w znak krzyża sadzona grabina,
Do której wiodą dwa świerki rówieśne.

Tażwonna świeżość w powietrzu i w kwiecie,
Wiejskiego wczasu towarzyszka miła,
I ta w zgiełkliwym niedostępna świecie,
Kojącej ciszy tajemnicza siła!

Witam cię, witam, serdecznie i czule,
Kochana żono w trojga dziatek gronie!
Z jakąż roskoszą do serca was tulę,
Witany wzajem na przychylnem łonie.

Usłużna radość krząta się i biega,
Witajcie! mówią parobcy, dzieweczki;
I pies się łasi, do stopy przylega —
Wszystko jak było—prócz jednej Franeczki!

II.

A tyż nie biegniesz, mój aniołku (drogi,
By mię powitać, jak to wprzód by- (wało,
Kiedy mi oknem, nim wstąpiłem (w progi,
Słałaś całuski drobną rączką białą?

A ledwo z wózka do przedsieni wbiegłem,
Już mię twe rączki objęły za szyję,
I bliźnie gwiazdy w oczusiach postrzegłem,
Drżące radością, jak nigdy niczyje!

A gdy usteczka przemówiły twoje,
Perłowych ząbków odsłaniając wdzięki,
To jakby rajskie ciekły w duszę zdroje,
Jakby anielskie grały w uchu dźwięki!

Urocze chwile dziecinnej zabawy,
Rozgłośne śpiewy, niewinne pustoty,
Balowe lalkom czynione zastawy,
Ochoczych tańców niestrudzone zwroty...

Wszystko ucichło, jak na wyspy brzegu,
Gdy fal i ptastwa usną gwary dzienne;
Wszystko zamierzchło, jak gdy księżyc w biegu
Chmurą przesłoni oblicze promienne!

Czyż taka wieku, taka lat różnica,
Dzieli to dzisiaj od tamtego wczora,
Że pełna uciech rodzinnych krynica
Łzami do smutku przeciekła jeziora?

Też same serca, ta przychylność słodka,
Co w kielich życia wonny napój lała —
Jedna tu tylko umilkła szczebiotka,
I pieśń wesela jak arfa przebrzmiała!...

III.

Patrzy w okna, milczy sroczka,
Cóż powie i komu?
Nikt na zwiady nie śle oczka,
Zkąd będzie gość w domu.

Przed oknami ogród w kwiecie,
Rezeda na grzędzie —
Nie zmać stópki co tu w lecie
Musiała być wszędzie.

Jeszcze wiosna w pączkach spała,
Dzień był chłodny, krótki,
Już nieboga wciąż pytała,
Czy rosną stokrótki?

Gdzie najrańszy kwiat wystrzeli,
Pierwsze od niej wieści;
Jak motylek w rannej bieli,
Po grządkach szeleści.

Między róże, miłe bratki,
Między bzy, powoje,
Szepty z Bozią, miłość matki
Dzieliła dni swoje.

Może śniła dusza czysta,
Czuło serce tkliwe,
Że rozproszy jesień mglista
To kółko szczęśliwe!

Przyszła jesień, znikły kwiaty,
Zima liść rozwiała —
Przyszła wiosna, wszystkie straty
W dwójnasób oddała.

Tylko jeden kwiat nie wstanie,
Wiosna go nie zbudzi:
Kwitnie on przed Tobą, Panie,
Ale nie dla ludzi!...

IV.

Za wrotami z wieńcem
Zbiera się gromadka,
Za wrota domowa
Wybiega czeladka.

Ozwały się skrzypki,
Zawtórzyły basy,
Biją w takt podkówki,
Pobrzękują pasy.

„Piękna nasza pani
U progu nas wita,
My jej niesiem wieńce
Z pszenicy i żyta.

„Ile kłosów w polu,
Ile ziarna w kłosie,
Tyleć szczęścia życzą
Obżynki latosie.

„W Matki Boskiej święto,
Pleban wieńce święcił,
Każdy z nich jak cacko
Wzrok ku sobie nęcił.

„Bośmy je też ładnie
We wstęgi barwiste,
W jabłuszka ubrały,
W orzechy złociste!"

„Druchny wieńce kładą,
Starszyzna się zbliża,
Poważnym ukłonem
Pani się uniża.

„Kiedyś nam łaskawa,
Nie gardzisz chłopkami,
To i taniec jeden
Przetańcujesz z nami.

„Gościnny u pani
Zielony podworzec,
Dla każdej córeczki
Ma pieniędzy korzec.

„Ej korzec jak korzec,
Miara to zuchwała,
Lecz choćby i więcej,
Wszystko by im dała.

„Dalej zwinne chłopcy,
Tańcujcie dziewczęta,
Raz tylko do roku,
Dzień takiego święta!

„Graj nam żydku, do dnia.
Krzeszcie w podkóweczki,
W ślad za naszą panią
Idą dwie córeczki!"...

W ogródku pod jesień
Zakwitnął fijołek,
Ze wszystkiemi w koło
Tańczy mój aniołek.

Kwiateczkiem u boku
Ciesz się drużbo hoży,
Nim go sam przesadzisz
Na ogródek Boży!...

V.

Nie raz w skocznym mazurze
Pierś się zatchnie młodziutka,
Sadzam lubcię, upieszczę;
Ona wdzięczna, milutka,
Wzywa oczkiem w lazurze:
„A z Izieczką też jeszcze!"

I tak w każdym podziele,
W każdej miłej zabawie,
Raczej komu niż sobie;
O! nie darmo w obawie
Drżało serce, aniele,
Że zapłaczę po tobie!

Czy się wstawić gdzie za kim,
Gniew lub karę złagodzić,
Czy dać biednym jałmużnę:
Wszędzie rade dogodzić
I z pośpiechem jednakim
Twoje chęci usłużne.

Tak za młodu już dziecię,
Twej rodzinie, domowi,
Jednasz myśli i serca;
Wszyscy cię też gotowi
Nieść na ręku przez życie
Do ślubnego kobierca...

„Gdy pomyślę, że mama
Żyćby kiedy przestała,
To mię w szyjce coś dławi:
Jużbym pewnie nię chciała
Żyć tu dłużéj tak sama,
Gdy mnie mama zostawi!"

Jak zrośnięte dwie wiśnie,
Jak dwuorzech leszczyny
Wiąże siła niewolna:
Tak na szyi matczynej
Wraz uściskiem zawiśnie,
Ust oderwać niezdolna!

„Jedźmy mamo dziś jeszcze,
Jam do drogi gotowa,
Weźmy wszystko z tąd zsobą!"
Biédne dziecię, twe słowa,
Twe przeczucia złowieszcze
Ostrzegały żałobą!

Zwiędły w pączku życzenia,
Czémże dzisiaj świat tobie
Obietnice swe spłaci?
Chyba kwiatkiem na grobie,
I łzą rzewną wspomnienia,
Że tak młodo cię traci!...

VI.

Na podwórzu z dziadkiem
Smutno ludzie gwarzą,
O dziewczynce w bieli
Z marmurową twarzą.

Dziadek siwobrody
Różaniec przesuwa:
„Duszyczka szczęśliwa
Tam nad nami czuwa!"

I wskazał na Niebo,
Na Niebo styczniowe,
Gdzie szło blade słońce
Przez chmury zimowe.

W sypialni we dworze —
O smutny widoku! —
Dwa serca konały
W dzień Nowego Roku.

Pod sukienką białą,
Jedno bić przestało,
A drugie w żałobie
Z bólu skamieniało....

Ruszył dziadek z krzyżem,
W ślad wstępują księża,
Droga ich wstrzymuje,
Wije się i zwęża.

Zamknij się drożyno,
Wystąp rzeko z brzegu—
Nieszczęścia godzino,
Cofnij się w swym biegu.

O smutni drużbowie!
Na takieżto gody
Trumienkę na barkach
Niesiecie za wody?

Za wody, za dwory,
Pod kościołek Boży,
Gdzie znak zmartwychwstania,
Świeci w rannej zorzy!...

VII.

Ze skargą w oku zwróconem ku Niebu,
Idę w te ślady z daleka wędrowiec;
Z szóstego wracam w rodzinie pogrzebu,
Na siódmy dążę, najmłodszy grobowiec!

Droga pod stromą nie wspina się górę,
A jednak trudno przyśpieszyć tu kroku—
Tchu mi nie staje, a mgliste, ponure,
W głąb' się cofają bliskie drzewa w mroku.

Smutne zbliżenie—smutniejsze witanie,
Nieutulone, bezwiestne, pozgonne;
Tylko szmer liści, biednej matki łkanie,
Wiatr z sobą niesie, jak echo podzwonne...

W drzew uroczysku, u przybytku łaski,
Gdzie pierwszą trawką grobowiec porasta,
Dziwnéj jasności promienne odblaski
Widziała we śnie znajoma niewiasta.

I z tego sennej jasności widzenia,
Pociecha w sercach umacnia się stale,
Że po dniach krótkich wesela, cierpienia,
Bóg ku wieczystej powołał cię chwale!

O czemuż we śnie nie zjawisz się matce,
Z wieścią o lepszej, o szczęśliwszej doli?

Jak ptaszę szczeble gdy rzuciłaś w klatce,
Żaden już do niej głos cię nie zniewoli!

Mimo długiego nie pytasz rozstania,
Jaki gościniec przywiozłem ci z drogi—
Ja twego nie śmiem uprzedzić pytania,
Bom przyszedł bardzo do ciebie ubogi.

W tym czasie prawiem do szczętu pogorzał,
Serce głęboką krwawiło się raną,
I takem schorzał i w duszy zubożał,
Że mię już nie stać dla ciebie na wiano.

Pokój twym cieniom, światłość wiekuista!
Gdzie chłodna ziemia kryje drogie szczątki,
Przy wieńcach matki żałośny lutnista,
Składa krwią serca spisane pamiątki!

(*K. P. J.*) *Jakób Żakrzewski.*

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(*Ciąg dalszy,*—patrz N. 36-ty).

Po tém zajściu fatalném, Kublicki postanowił niezwłocznie szukać sobie służby gdzieindziéj. Nie wchodził on w pobudki haniebnego postępku, nie domyślał się wcale, że to była zemsta za wzgardę, jakiéj major doznał od jego żony, — bo choć nieraz był świadkiem nadskakiwań jego nikczemnych, brał je za prosty nałóg kobieciarza starego, któremu lada piękna twarzyczka do umizgów protekst dawała, ani mu do głowy nie przyszło, jak daleko rozpustnik nadzieje swe posuwał; w prostocie więc ducha przypuszczał, że ta nagła zmiana w usposobieniu, ten niezwykły wybuch majora, był wynikiem albo *zalania pałki*, albo jakichś plotek ludzi zawistnych, albo wreszcie uporu wraz powziętem już przekonaniu o mniemaném szalbierstwie komisanta zaskarżonego. Tak czy owak, dla niego było to wszystko jedno. Gdyby nawet pan major, ochłonąwszy z passyi swojéj, miał dawniejszą łaskę mu wrócić, gdyby nawet chciał go przeprosić; zniewaga, jakiéj odeń był doznał, tak głęboko utkwiła w jego sercu szlachetném, że już jéj nic zatrzeć nie mogło! Gdyby nie wzgląd na żonę i na dziatwę nieletnią, gdyby nie bezdróż i nie słota jesienna, byłby pewno natychmiast obowiązek porzucił i na bruk się gdzieś wyniósł; tak zaś, pomny na swą rodzinę, zrezygnował się nieboraczysko wytrwać z swą urazą dopóty, póki innéj służby nie znajdzie.

Kiedy wrócił do żony, jakkolwiek chciał utaić co go spotkało, ta od razu prawdę przenikła i tyle tkliwą prośbą na nim wymogła, że jéj wyznał nareszcie swoje zajście z panem Michałem, starając się tylko poczciwie złagodzić je w relacji, żeby biednéj kobiecie nie przyczyniać zbytniej zgryzoty. Kublicka, któréj łatwo było odgadnąć przyczynę téj napaści haniebnéj, zakipiała gniewem straszliwym i drżąc z oburzenia niewymownego, a razem przewidując, że się na téj jednéj krzywdzie nie skończy, starała się męża ubłagać, aby koniecznie z Jamiołki się wyniósł natychmiast, choćby do żydowskiéj gdzieś izby, i nie łatwo mu przyszło uprosić ją o cierpliwość do czasu, nim nowéj nie upatrzą sobie siedziby.

Niech to czytelnika nie dziwi, że oboje Kubliccy, którzy tak wiele winni byli Czorsztyńskim, jakby zapomniawszy o tém zupełnie, tak łatwo zrywali się ze służby z powodu osobistéj urazy, choć wiedzieli o tém najlepiéj, że interes dziedzica przedewszystkiem na tém cierpi. Kublicki nie wypuszczał tego z pamięci i działał nie bez pewnego planu. Dawniéj już wszyscy officyaliści, którym Michał ciągle dokuczał i w majątku bruzdził okrutnie, pomimo najściślejszych obostrzeń dopuszczając się różnych nadużyć,—radzili między sobą dość często, w jakiby się sposób go pozbyć, a siebie i fortunę pańską ratować? i wreszcie polecili kassyerowi, aby do Czorsztyńskich napisał, że wszyscy obowiązek porzucą, jeśli tylko pan Michał na posadzie swojéj zostanie. Kassyer polecenie to spełnił, ale ono skutku nie wzięło, i jeden z officyalistów, niecierpliwszy od innych, rychło podziękował za służbę. Kassyer uwiadomił o tem dziedzica, wszelakoż nie poprawił sprawy bynajmniéj, bo ów pierwszy malkontent nie należał do najpoczciwszych. Teraz więc myślał sobie Kublicki, że skoro się i on wydali, on którego Czorsztyńscy uważali za najlepszego, skoro za nim pójdzie jeszcze dwóch innych, którzy się wstrzymywali jeszcze dotychczas, ulegając tylko jego perswazyi, to Michał weźmie abszyd nareszcie, a Czorsztyńscy niechybnie wydalonych nazad powrócą, i z chwilowéj mitręgi będą mieli w zysku na przyszłość ład i spokój w majątku, dzisiaj zagrożonym prawie ruiną.

Co do saméj pani Kublickiej, ta się nie wdawała w żadne rozumowania; jéj krzywda była tego rodzaju, że w obec niéj o wszelkich względach można było zapomnieć. Srodze to ją wprawdzie bolało, że musiała opuścić dobrodziejkę swoją kochaną, ale właściwszéj nie wiedziała drogi do wyjścia. Skarżyć się na Michała pani Czorsztyńskiéj, było dla niéj niepodobieństwem, lękała się bowiem, żeby w ten sposób nie rozgłosić swojéj zniewagi, którą najusilniej przed mężem starała się utaić, bo gdyby się prawdy dowiedział, to alboby na śmierć się zagryzł albo ostatecznie się zgubił, straszliwéj na Michale zemsty szukając. Lepiéj więc dla obojga Kublickich było służbę porzucić.

Łatwa to rzecz służbę porzucić, ależ inną gdzie znaleźć? Jakkolwiek pan Ignacy dobrze był znany okolicznym obywatelom, trudno mu wszakże było napraszać się na obowiązek tam gdzie miejsca były pozajmowane, a pora niewłaściwa do zmiany; trudno było szukać wakansu, nie mogąc stanowiska swego opuścić i działając tylko przez posłów, przez których *wilk nie tyje*, według przysłowia. Czekał więc biedaczysko i cierpiał nad wszelki wyraz, bo choć Michał już nowych nie dopuszczał się gwałtów, jednak nie omijał żadnéj zręczności żeby mu dać uczuć swoją niełaskę,— to jest nie tyle jemu ile raczéj żonie przez niego, która krwawemi zalewała sie łzami, raz w raz męża błagając żeby co rychléj wynosił się z Jamiołki.

Upłynęło kilka tygodni w nieustannéj zgryzocie i daremnem oczekiwaniu na pomyślną nowinę, zamiast któréj bardzo boleśna, nieczekana nadeszła. Umarł brat Kublickiego, jak i on biedny officyalista, zostawiwszy kilkoro dzieci, żonę bez sposobu do życia! Ignacy, zawiadomiony przez nią o tym smutnym wypadku i zawezwany na pogrzeb, musiał pychę z serca zrzuciwszy, prosić pana Michała o trzydniowy urlop od służby i łatwiéj niżeli się spodziewał otrzymawszy odeń takowy, mimo bezdróż i słotę, niezwłocznie się tam udał, gdzie święty obowiązek go wołał.

Majątek, gdzie się pogrzeb miał odbyć, był o mil siedm tylko od Jamiołki odległy; po drodze choćby najbezeczniejszéj jednego dnia mo-

żna było tam stanąć, i drugi zabawiwszy na miejscu, na trzeci w samą porę wrócić do domu. Tymczasem już się czwarty dzień kończył, a Kublickiego nie było! Nie dziwy zatem, że Kublicka z taką tęsknotą, z takim niepokojem serdecznym, oczyma zapłakanemi przez okienko mgławo patrzała, nie dziwy, że za wrota biegła w szarugę! Nie była to obawa przesadna o zdrowie albo życie małżonka; rozumiała biedaczka, że w tych smutnych okolicznościach, co go do bratowéj powiodły, łatwo coś takiego zajść mogło co go dłużéj nad zamiar zatrzymało na miejscu; lecz ta zwłoka, tak naturalna, panu Michałowi może dać protekst do nowéj, jeszcze gwałtowniejszéj napaści, z któréj najsmutniejsze wyjdą następstwa! Nie wątpiła o tem bynajmniej, owszem przekonaną była najmocniéj, że straszliwa burza wisi na włosku, burza, co ma zniszczyć całe ich szczęście, pozbawić ich dachu i chleba, a co najboleśniejsza, ukochaną dziatwę narazić na dotkliwe trudy i niewygody, które zwłaszcza dla niemowlęcia, zabójczemi będą niechybnie! A ona, ona sama tego przyczyną!.. Mieliśmy tedy słuszność, wyrzekłszy, że u biednéj ekonomowéj ani cała jéj piękność, ani wdzięczny jéj smutek, ani jéj łzy perłowe, ani miłe jéj dziatki do zazdrości wcale nie były; bo z tém wszystkiem ona się czuła nieszczęśliwa niezmiernie i rady na nieszczęście swoje znaleść nie mogła! Okropna katastrofa zbliżała się co chwila, a odwrócić jéj było nie sposób; podczas bowiem nieobecności męża zaszły nowe wypadki, które już ostatecznie sprawę popsuły

Nazajutrz po wyjeździe Kublickiego na pogrzeb, pan Michał, który od powrotu jego z Odessy ani razu nie był w Jamiołce, znowu się tam zjawił nad wieczór, ugrzeczniony i czuły, jak dotychczas nigdy nie bywał. Powitany zimniéj niż kiedy, nie zraził się tém wcale: rozgościł się w najlepsze, poprosił o herbatę panią Kublickę, która mimo wstrętu niewymownego, nie mogła mu jéj odmówić, i jakby się za najpożądańszego miał gościa, zapijając odwar nieosobliwy niby nektar najsłodszy, najswobodniéj gawędził, a nawet z bezczelnością zdumiewającą umizgów po dawnemu próbował! Wabił dzieci do siebie, brał je na kolana, pieścił, całował, cukierkami je karmił, i ciągle się unosząc nad ich niezrównaną pięknością, raz wraz przy tem powtarzał, że są żywym portretem matki, i spoglądał na nią tak czule, wzrokiem takiem wymównym, że w poczciwéj kobiecie, która wolałaby swoje dziewczątka widzieć w łapach niedźwiedza, niż w uściskach tego potwora, a sama słyszeć grubiaństwa najstraszliwsze niż te komplementa pełne zniewagi, do głębi wzdrygała się dusza szlachetna i krew z oburzenia wrzała gwałtownie! Cóż dopiero gdy ten nikczemnik zaczął ubolewać nad sobą, że nie umie panować gwałtowności serca swojego i musi prześladować człowieka, któremu tylko łaski świadczyć by wolał! Gdy z głębokiem porozumieniem, patrząc na nią lubieżnie, zakonkludował wreszcie: „ale wszystko to jeszcze da się łatwo naprawić, byleś tylko pani zechciała! Niech ja będę szczęśliwym, niech się dłużéj nie gryzę i nie wściekam z zazdrości i z upokorzenia; a raj dla was zrobię z Jamiołki!”—I gdy korzystając z momentu, w którym został sam na sam z bezsilną w swoim gniewie kobietą, dłonią rozpłomienioną uchwycił ją za rękę i pociągnął nagle ku sobie, chcąc ją skalać, sprosnym uściskiem!!.. Okrzyk zgrozy z ust się jéj wyrwał, ogniem zapałało piękne oblicze, iskry strzeliły z oczu, zadrżała, wstrząsnęła się raczéj jak lwica ugodzona postrzałem, i tracąc wszelką władzę nad sobą w uniesieniu szlachetnem, z taką siłą w piersi go pchnęła, że aż zatoczył się na nogach; a nim opamiętać się z dołał, już jéj w izbie nie było. Jak szalona się we drzwi rzuciwszy, strzałą przez dziedziniec przemknęła i skryła sią w gęstych zaroślach folwarcznego ogrodu, gdzie zalewając się łzami, drżała z chłodu i gniewu, przesiedziała dopóty, póki turkot powozu, co zresztą bardzo prędko dał się jéj słyszeć, nie stłumił się całkiem w oddali, zwiastując, że napastnik nikczemny już ustąpił z granic Jamiołki.

Nazajutrz ku wieczrrowi, po dniu pełnym trwogi bolesnéj i smutnego oczekiwania, przybył goniec z Hreczyna z poleceniem pana Michała, aby ekonom się niezwłocznie stawił przed nim, jak tylko wróci. Ekonoma jeszcze nie było! Na czwarty dzień, gdy właśnie zaczęliśmy opowieść, znowu jeden goniec przybył o świcie, drugi w samo południe, a nareszcie i sam pan Michał, jakeśmy to widzieli, rozbestwiony złością i chucią, wdarł się w progi ekonomowego dworku.

Gdy odjechał po owéj scenie, w kwadrans potem Kublicka, skarżąca się we łzach Matce Bolesnéj, usłyszawszy w podwórku nowy tętent i psów naszczekiwanie, zerwała się z klęczek co żywo, i z modlitwą drżącą na ustach łzy z pośpiechem otarłszy, pewna już że małżonka spotka nareszcie, z radością poskoczyła na ganek. O z jakiemże uczuciem powitała swego Ignasia! jakże mocno pragnęła rzucić mu się na szyję i do piersi tych drogich skołataną głowę przytulić! Lecz nie mogła tego uczynić, bo Kublicki trzymał na ręku przywiezioną z sobą dziecinę, owiniętą starannie powierzch innéj odzieży w jego własny surdut bajowy. Sam był grubą burką okryty, z któréj strumieniami woda ściekała, dziecię wszelakoż było suche prawie zupełnie.

— Przywiozłem ci gościńca!—rzekł z poczciwym uśmiechem w twarzy, posiniały od chłodu, głosem w którym mimo swobody, znać było że w nim dygotały wszystkie wnętrzności.

Kublicka, która zgadła od razu, że jéj Ignaś serdeczny musiał u swéj bratowéj zabrać jedno z pięciorga dziatek, aby nieszczęsnéj wdowie ulżyć trochę ciężaru, wyciągnęła ręce skwapliwie po ten święty gościniec, bo jéj pilno było przytulić sierotkę do serca,—i spytała tylko z tkliwością: któreż to niebożątko?

— Jagusia;—odpowiedział Kublicki,—bardzo miła i grzeczna; jednolatka z naszą Olesią.—I to mówiąc, zdał dziecię na ręca żony, z prośbą, by je prędzéj wniosła do izby, a sam jeszcze w sieniach pozostał, gdzie kazał sobie podać kożuszek, na który chciał co rychléj burkę zamienić, bo ta na wskroś przemokła, a pod nią brakowało surduta, oddanego w drodze Jagusi, którą nadto jeszcze poczciwiec pod połami tulił troskliwie, bojąc się żeby nie przeziębła biedaczka, a o sobie całkiem nie myśląc.

Gdy się przebrał i wszedł do izby, Kublicka, co już biedną sierotkę wydobywszy z mnogich

okrywek, osypała pocałunkami, łzą rzewną poświęciła na własną wolę i dzieweczkom swoim kazała uściskać i ucałować jak rodzoną siostrzyczkę, rzuciła się ku niemu z powitaniem tak upragnionem, a razem i z wymówką serdeczną, ze o własne zdrowie nic nie dba.

— Ej fraszka! —odparł na to Ignacy, — mnie niktby i obuchem nie dobił, a to niebożątko, jak muszka! bałem się, żeby nie zastygła na drodze! Gdyśmy wczora ruszyli w drogę, było dosyć pogodnie, a przynajmniéj ciepło choć chmurno; dopiero po południu zerwała się taka wichura, że musiałem stanąć przy pierwszéj karczmie, jaka mi się trafiła, i czekać nim się nie uciszy choć trochę; bo nie miałbym Boga już w sercu, gdybym tego robaczka na szarugę taką wystawiał. Stoje godzinę, drugą, a tu leje jak z cebra i wicher dmie jak wściekły, istne jakieś nasłanie! Co tu robić? mrok zapadł, zciemniło się, choć oko wykol! Ha! pomyślałem sobie,—będziesz miał się z pyszna Ignasiu, jak nie staniesz na terminie? skroi ci tęgą kurtę pan Michał! ale bądź wola Boża! nie ma rady! trzeba nocować. Nad ranem znów się trochę przetarło i ruszyliśmy daléj; ale niezadługo wróciła bieda, i jak wzięła się do nas, tak już ani momentu odpocząć nam nie dała. Czekać dłużéj było niesposób; więc się wlokłem powoli, raz wraz dojeżdżając do karczem, żeby trochę odchuchać nieboraczkę Jagusię, którą dla bezpieczeństwa obwinąłem własnym surdutem i pod burką ciągle trzymałem; ale jeszcze się boję, czy jéj niezaszkodzi ta podróż! No i cóż tam dzieweczko? dodał zwracając się do dziecka i czule je głaszcząc po twarzy,—żyjesz jeszcze? nie zmarzłaś?

— Nie stryjaszku! —odrzekła, rękę jego całując.

— Gdzie tam nie! buziak zimny jak z lodu!— zawołał stryj poczciwy;— zawiń no się prędzéj Anielciu, a napój ją czém tam gorącem.

— Zaraz, moje kochanie, samowarek nastawię.— Odpowiedziała żona.

— No to dobrze! a mnie daj wódki, bo ja na herbatę czekać nie będę, muszę ruszać po gospodarstwie.

— Bój się Boga Ignasiu!—wykrzyknęła żona z przestrachem;—jakże można, tylko co z drogi, przeziębły i strudzony!.. Toż się przebierz przynajmniéj, boś powno do koszuli przemokły.

— Fraszka to!—odpowiedział wesoło.—Jak się puszczę po wszystkich kątach, to się zaraz rozgrzeję i koszula wyschnie na plecach. Nie wstydźże się! niepłacz dziecino!.. cóż to znowu Anielciu?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PODRÓŻ NAD WARTĘ.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 37-my).

Otóż taką jest owa historja mająca styczność z Łaskiem, a która mi się przypomniała na samem wychodnem z kościoła. Pytam się tedy oprowadzającego mię organisty, czy są tu jakie na cmentarzu sklepy, albo czy nie wie gdzie leży dawny dziedzic Załuski. Odpowiedział mi że pod kaplicą Matki Boskiej. A ponieważ tam łatwo dojść można, więc z ciekawości odwaliwszy drzwi, po drabce wszedłem w ponure podziemia i ujrzałem na raz stojących około siebie kilka trumien. Na jednej z nich leżała zbutwiała już mirta książęca, druga była nadzwyczajnej grubości, inna od samego brzegu była otwartą, a w niej leżał mężczyzna dobrze jeszcze i w całości zakonserwowany. Czaszkę od czoła aż po ucho miał przeciętą, ręce złożone jak do pacierza, skóra do kości przyschnięta, zęby wyszczerzone, odzież nieco przegniła — był to Załuski. Stwierdziwszy fakt, wyszedłem, ale wyszedłem jakiś smutny i markotny, nie wiem czy owa historja tak na mnie wpłynęła, czy ślady zniszczenia i pamiątki śmierci, sam nie wiem, dosyć że mi coś brakowało. Wyszedłem na miasto, lecz i jego widok zamiast, mię rozweselić, zasępił jeszcze tembardziej. Ubogie, poczerniałe i chylące się domki, kilka starych murowanych budynów, dawno niebrukowane ulice, oto szczątki niegdyś bogatego i ludnego miasta, oto rodzinne gniazdo takich mężów: jak Jan Łaski (ur. 1456, zm. 1531 r.) sławny wydawca Statutu 1506 r. mąż głośny na całą Europę; albo taki drugi Jan Łaski (ur. 1499 r.) jeden z najsławniejszych wówczas protestantów, lub nakoniec brat jego Hieromin Łaski (zm. 1542 r.). Byłem jakby nie swój; chodziłem z kąta w kąt, z ogrodu w ogród, przyglądałem się domom i starej Synagodze żydowskiej, obejrzałem mały kościołek drewniany Ś-go Ducha, oddany r. 1811 gminie ewangelickiéj; błądziłem po polu, po łące i rozmaitych drogach, wszędzie spokojnie i głucho, a szum wody pod młynem, szelest listka na drzewie, przysposabiały tylko do zadumek i wspomnień, obłóczyły czoło w zmarszczki i ponurość. To też jak tylko wieczorem zaszła sławna kuryerka, czemprędzej poszedłem na pocztę i zapłaciwszy co sięnależało, o godzinie dziesiątej, już nieco wygodniej jak wczoraj, drzemiąc jechałem ku *Zduńskiej Woli*. Lecz drzemka zamieniła się wkrótce na improwizowany, twardy sen, i niepostrzeżenie minąłem to fabryczne i przemysłowe miasto. Ocknąłem się już niedaleko *Sieradza*, serce uderzyło mi żywo. Sieradz! Na odgłos tego nazwiska, tysiące wspomnień ciśnie się gwałtem do mojej duszy, do mojego serca. W Sieradzkiej Powiatowej szkole pierwsze pobierałem nauki po wyjściu z rodzicielskiego domu, pierwsze samodzielne stawiałem kroki na drodze towarzyskiego i społecznego życia. Wnet, jakby na słowa zaklęcia cały ów obraz młodocianej mojej przeszłości stanął mi w wyobraźni, tak żywy, tak dobitny i wyraźny, żem rozpoznać nie mógł czy jestem we śnie czy na jawie. Więc najprzód widziałem siebie pyszniącego się w mundurku z czerwonym kołnierzem, z książkami i kajetami pod pachą i kroczącego w towarzystwie wielkiej rzeszy kolegów do szkoły. Widziałem nasze zabawy, nasze gry w palanta i ekstrę, przy których omało oka nie postradałem, a przecież zniosłem to ze śmiejącą się twarzą, bo jakżeby student miał płakać! A majówki, a rozmiar z ukochanym i zacnym Sobol..... profesorem matematyki, który razem z nami jak długi kładł się na murawie i gawędził, żartował, jak mógł tak rozweselał nas malców, śpiewał z nami, i w taki umiał wprowadzić nas entuzyjazm, że bylibyśmy na go rękach nosili, gdyby nie był taki wysoki i mocny. A ksiądz prefekt, co to dowiedziawszy się że czwarta klassa, pomimo jego woli, była w teatrze, zamknął się z nami na klucz podczas lekcji, dobył z za

habitu rozgę i powiedziawszy że dla przykładu musi nas obić, dotykał się z lekka każdego pleców, kazał nam krzyczeć jakoby z bólu, a potem wyszedł z tryumfującą i uśmiechniętą miną do inspektora. A popis, a moja deklamacja *Wilk i Brytan*, z której wszyscy się śmieli, a wakacje — o! nie zapomnę tych chwil słodyczy, tego dziecinnego nieba, tych pol, tych lasów, tej rzeki, która widać z miłości i z karesów pochłonąć mię raz chciała na wieki, aż ledwie mnie z niej dobyto. A zamkowa góra, a koza, a odwiedziny kochanych rodziców i krewnych — ej, tomy trzebaby pisać o tem i o innych rzeczach, które na wspomnienie Sieradza, snują mi się po głowie. Ale znudziłbym takim opisem nie jednego czytelnika. One obrazy, one przypominki, to tylko dla mnie i mych rówieśnych kolegów, co je pieścimy w duszy, hodujemy w sercu i podlewamy nie raz łzą rozrzewnienia, to tylko dla nas są drogie, dla nas nieocenione, bo to nasze skarby i perły. (*D. c. n.*)

TANIE ZŁOTO.

W nowszych czasach, a raczej w najostatniejszych, dostąpiło słusznie wielkiego rozgłosu *tanie złoto*. Chemja dzisiejsza jakkolwiek zna z pięćdziesiąt metali, to jednak nie wielka tylko z nich liczba jest właściwą do użycia w przemyśle, czy też w rozmaitych potrzebach domowego życia. Po największej części metale te posiadają rozmaite wady, czyniące je niezdatnemi do naszych potrzeb pospolitych, i tak np. potas i sod lżejsze od wody, są za to miększe od ołowiu, a przytem ulegające szybkiemu psuciu się przy przystępie powietrza. Żelazo nadzwyczaj prędko rdzą się pokrywa. Cyna i ołów są za miękkie. Merkurjusz jest płynny. Złoto, srebro i platyna są za kosztowne z powodu swej rzadkości. Miedź przechodzi bardzo łatwo w związki trujące i t. d. Zresztą wszystkie te metale, wyjąwszy złoto i miedź, są koloru białego. Tym to sposobem liczba metali przydatnych do pospolitego użycia jest bardzo ograniczoną. Wprawdzie za pomocą chemji możemy tu sobie zaradzić, a to przez tworzenie z tych metali pojedynczych, że tak powiemy metale złożone, które w języku naukowym nazywają się aliażami. Do takowych to aliażów czyli połączonych metali należy np. mosiądz, powstały z połączenia miedzi i cynku i tak wielkie w praktyce zastósowanie mający.

Połączenia jednak znane dotychczas były jeszcze niedostatecznemi i dopiero nowy wynalazek znacznie je uzupełnił. Nastąpiło to w skutku odkrycia nowego metalu aluminjum, gdyż w nauce jeden dokonany wynalazek pociąga za sobą inne, zwykle ani spodziewane nawet. Aluminjum jest pysznym nabytkiem nowoczesnej umiejętności. Jest to bowiem metal lekki, dźwięczny, wytrzymały, ciągły, giętki, a przytem nieulegający zmianom. Wartość tego nowego metalu tem jest znakomitsza, że on w połączeniu z innemi metalami, wydaje rozmaite aliaże, z pomiędzy których odznacza się szczególniej związek aluminjum z miedzią, niewłaściwie nazywany bronzem aluminjowym, a który będąc znacznie lżejszym od złota, wielce jest do niego podobnym. Na Wystawie Paryzkiej można było widzieć prześliczne odlewy z aluminjum, które swoją białością matową odbijały wybornie przy innych metalach. Było także wystawionych wiele wyrobów z wymienionego powyżej aliażu, które nie tylko swemi artystycznemi formami, ale i kolorem nadzwyczaj do złota zbliżonym, uderzały zwiedzających. Gdyby to jednak użycie aluminjum i jego związku naśladującego złoto ograniczało się do samych dzieł sztuki, nie stanowiłoby wcale tak wielkiego nabytku, ale ma ono już znakomite zastósowanie w przemyśle, które się ciągle powiększa. Przekonano się np. że gdzie idzie o zrobienie wagi bardzo czułej, tam żaden metal z aluminjum rywalizować nie może. Ponieważ przytem ten metal jest nadzwyczaj lekki, nieśniedziejący wcale, a przytem nie łatwo się łączy z obcemi ciałami, to znalazł już obszerne użycie w wyrabianiu narzędzi matematycznych, optycznych, chirurgicznych i t. p.

Co do tak zwanego bronzu aluminiowego, to wartość jego głównie polega na tem, że nie jest on tylko w swej wierzchniej warstwie do złota podobny, ale zarówno w całej swej massie. Można go więc używać ciągle, a aż do ostatka będzie ciągle jednym. Daje się przytem bardzo pięknie polerować, jest trwałym i nie śniedziejącym. Z tego bronzu wyrabiają już w Paryżu bardzo wiele ozdób i aparatów kościelnych, mających nadzwyczajnie piękne pozory. Wiele też łyżek, łyżeczek, widelców, tac, zastaw stołowych, a przytem tanich biżuterji, nieśniedziejących i nie tracących swego złotego blasku, wyrabia się tu i za granicę sprzedaje. Nie wiadomo nam czy aluminjum może się używać na podobę cyny, a przynajmniej z taką łatwością jak ona do pobielania rądli i tym podobnych naczyń. Byłoby to niezmiernej wagi zastósowanie tego metalu, ponieważ kwasy nie działają na niego. Gdyby to było możliwem, wiele rodzajów gospodarskiego przemysłu znalazłoby przez to wielkie ułatwienie w prowadzeniu swojem, jak np. między innemi wyrabianie cukru z kartoflanego krochmalu za pomocą siarkowego kwasu, które się rozwinąć nie może, ponieważ wymaga ołowianych kotłów, łatwo się psujących. Gdyby jednak pobielanie aluminjowe było możliwe, czynność ta odbywałaby się w kotłach miedzianych.

W ostatnich czasach dzienniki doniosły że i Amerykanie wynaleźli pewien aliaż, nadzwyczajne podobieństwo do złota mający.

Jest też i metal bardzo do srebra zbliżony, zwany srebrem chińskiem albo *alfenidem*, z którego we Francji zastawy i narzędzia stołowe w bardzo wielkiem są upowszechnieniu. Sztucce albo naczynia srebrne można tylko w Paryżu w arystokratycznych domach na Saint-Germain spotkać, wszędzie zaś indziej tylko alfenid panuje, a któremu umieją tak prześliczne kształty nadać. Na Wystawie Paryzkiej wyroby srebrne angielskie jedynie tylko były godne widzenia, tak swoją potężną massą srebra, jak nieporównanem wykończeniem i najprzepyszniejszemi artystycznemi formami. Najpiękniejsze z tych naczyń prawdziwe arcydzieła sztuki złotniczej, zakupione zostały przez cesarza Napoleona.

Zygmunt Gawarecki.

PRACA i ZDROWIE.

(Dokończenie— patrz Nr. 37-my.)

Lecz i nauka, której to zawdzięczamy, jest także pracą, tak że z pracą i przez pracę znikają wszystkie klęski ludzkości.

Praca więc nie jest waszym nieprzyjacielem, owszem, to wasz najlepszy przyjaciel, najlepszy doradca.

Lecz macie w rzeczy samej swoich nieprzyjaciół, a tymi są przesądy i nałogi wasze. Nieprzyjaciele ci wiele wam szkody przyczyniają, a jednak, tak łatwo ich pokonać!

Powszechne jest uprzedzenie w klasie robotników, że nie mają czasu sobą się zajmować; a są nawet i tacy, którzy nie mają czasu być czystymi, jakby nie dość było kilku minut co rano lub co wieczór do obmycia się wodą świeżą. Dzięki temu środkowi, tak prostemu i taniemu, ustrzegłby się człowiek wielu chorób skórnych przy czem apetyt by się zwiększył, przybyłaby rzeźkość, i co trudne do wiary, myjąc się wodą zimną, zabezpieczyłby się od kataru i innych cierpień. Obmywanie się zimną wodą i nacieranie ciała, zwiększa żywotność skóry i zobojętnia ją na wpływy temperatury.

Ochędóstwo ciała jest jednym z najgłówniejszych warunków zdrowia. Pociągnijcie pokostem skórę zwierzęcia, a wkrótce zdechnie, bo skóra koniecznie musi transpirować. Nieochędóstwo jest właśnie owym zgubnym pokostem, a tak łatwym do zmycia trochą wody.

Wielkie słowa w tej mierze wyrzekł sławny król francuzki Henryk IX: ,,Nie rozumiem, mówił, dla czego niektórzy ludzie nie chcą być grzeczni i czyści, ile że aby być grzecznym, dość uchylić kapelusza, aby być czystym, dosyć szklanki wody."

Z zaziębienia bardzo wiele chorób powstaje, z których niektóre, jak zapalenie gardła, mogą się stać przez zaniedbanie, bardzo nawet niebezpiecznemi. Inne, jak katar, są niby lżejsze, a nawet wcale na miano choroby u wielu osób nie zasługują. Są osoby co nie tracą prawie kataru, a jednak nie wiele ich to obchodzi i wcale się nie radzą. Nie trzeba im jednak zbytecznie dowierzać, bo jeżeli u osób silnych i zdrowych zwykle kończy się on prędko i bez złych następstw, to natomiast u osób mających najmniejszy defekt w płucach, może on mieć zgubne następstwa.

Z zaziębienia też pochodzą zapalenia płuc, tyfusy, reumatyzmy i t. p. choroby, z których jedne kończą się często śmiercią, inne długich obłożnych chorób nabawiają lub dotkliwie dają się uczuć choremu przy każdej zmianie temperatury.

Tak więc, strzeżcie się zimna i wbijcie sobie w pamięć, że więcej ono zgubiło ludzi, aniżeli trzy połączone plagi, t. j. wojna, głód i powietrze morowe.

Nie tyle wszakże szkodzi mróz i największe jednostajne zimno, ile nagłe przejście z gorąca do zimna.

Szkodliwem więc jest pozostawanie w przeciągu powietrza, picie napojów zimnych, leżenie na ziemi wilgotnej, gdy ciało jest ugrzane. Dobrze też nosić na ciele flanelę, bo robotnik zgrzany pracą często bywa wystawiony na zimno i jego skutki. Flanela ochroni go od katarów i od wielu innych chorób i pozwoli pracować na swoje i swojej rodziny utrzymanie. Wydatek tu nie wielki, a korzyści nieobliczone!

Pokarmy wielki też wpływ wywierają, nie tylko na zdrowie, ale nawet i na stan moralny człowieka. Odpowiednio do tego, że czy dobrze są przyrządzone, idą nam na pożytek lub szkodę, zapobiegają lub sprowadzają choroby i dolegliwości.

Ci nadewszystko, którzy wiele pracują, potrzebują pokarmu pożywnego, a najpożywniejszym jest bezprzecznie mięso. W ogóle tyle spożywać trzeba pokarmu, ile potrzeba do wynagrodzenia strat, przez pracę poniesionych.

Chcecież dowodu? oto jeden z tysiąca.

Do robót przy kolei żelaznej z Paryża do Rouen, użyto francuzkich i angielskich robotników. Wyższość ostatnich była zdumiewająca: Anglicy i więcej i lepiej robili, a nawet mniej się męczyli. Starano się więc odgadnąć przyczynę, a ta była bardzo prosta. Robotnik angielski jadł obficie pieczeń wołową, gdy tymczasem francuzki poprzestawał na smacznej wprawdzie, ale pozbawionej wszelkich pożywnych pierwiastków, sałacie. To też gdy biedny Francuz wnet ustawał w robocie, dobrze żywiony Anglik dalekim był od zmęczenia.

By się jednak przekonać, czy różnica ta rzeczywiście była skutkiem pokarmów, wzięto Francuzów na stół angielski, a wówczas nie tylko wyrównali, ale prześcignęli nawet Anglików, oprócz bowiem sił, które ich z tamtymi zrównały, Francuzi zyskali przewagę w zręczności, która jest charakterystyczną cechą tego narodu.

Tak więc, kto pracuje ciężko, powinien jeść mięso. Żywiąc się zaś pokarmami roślinnemi czyli leguminami, potrzeba jakość zastąpić ilością, przy czem kieszeń równąż stratę jak i żołądek ponosi.

Pomiędzy ludźmi trudniącymi się pracą ręczną, wielu jest takich, którzy sądzą, że czego nie dojedzą, to mogą dopić, ale tacy grubo błądzą, bo trunek chwilowo tylko podnieca nasz organizm, ale bynajmniej go nie wzmacnia.

Trzeba przy tem wiedzieć, że pijacy coraz mniej jedzą, chudną i nikną widocznie. A dzieje się to dla tego, że spirytus, wódka, koniak, likier i t. p. trunki szkodliwie oddziaływają na nasz systemat nerwowy, a żołądek pijącego w pergamin zamieniają. Staje się on niby bezwładną kieszenią, niezdolną czuć głodu, niezdolną trawić, jeżeli jeszcze cóś gorszego nie nastąpi, to jest jeżeli na ścianach żołądka nie osiądzie rak, który tak często kończy nadużycia spirytusowych napojów.

W taki to sposób wódka wzmacnia!

Jest jeszcze inny przesąd, że trzeba być bogatym, żeby zachowywać przepisy hygjeniczne, żeby żyć zdrowo. Mylne mniemanie, łatwiej jest stosować się do przepisów hygjenicznych w skromnem mieszkaniu robotnika, aniżeli w pałacu bogacza. Miękkie posłanie i stół zbytkowy, wykwintne obiady i bezsenne noce, sprowadzają podagrę, defekta i starość przedwczesną. Wy, którzy macie skromne mieszkanie, gospodarski lecz zdrowy obiad, szczupłe dochody ale serce zadowolone, nie zazdrośćcie bogatym, bo nie znacie odwrótnej strony medalu.

Wiecież co czyni lekarz chcący przywrócić zdrowie bogatemu? Przepisuje mu prostotę waszych zwyczajów i zwykłe wasze zajęcia. Człowiek bogaty, który chce żyć zdrowo, trzyma się waszego sposobu zycia, naśladuje waszą wstrzemięźliwość.

Pewien minister angielski, zniewolony co rok zamieszkiwać w Londynie podczas sessji parlamentarnych, pragnąc uniknąć podagry, o którą tak łatwo w arystokratycznych kołach tego miasta, zaprowadził następny sposób życia. Codzień jadał tylko mięso wołowe, jednego dnia pieczeń, drugiego na zimno, trzeciego dnia bigos. Przy takiej dyecie, mawiał, niepodobna się stać żarłokiem lub dostać podagry.

Tak więc, nie zazdrośćcie panom ich przysmaków, bo częściej z nich choroba, aniżeli rozkosz wychodzi. Wiedźcie też i o tem, że apetyt najlepszą jest przyprawą, stokroć zdrowszą niż wszystkie wyszukane łakocie.

Praca ręczna, cielesna, oprócz pokarmu posilnego, potrzebuje też spoczynku.

Nie będzie praca zdrową dla robotnika, a użyteczną dla produkcji, jeżeli uskuteczniać ją będziemy z nadużyciem sił. Praca nadmierna, bez wytchnienia i spoczynku, nie wyda dzieł doskonałych. Najdzielniejszy umysł i najmocniejsze ciało, nie długo się opierają szkodliwemu wpływowi bezsenności i nadużyć pracy. Siły potrzeba oszczędzać, kto je trwoni, stracić może bezpowrotnie.

W życiu jednak zupełnie się to inaczej dzieje, żadnej pod tym względem miary zachować nie umiemy. Dziś opada nas lenistwo, jutro pracujemy więcej niż siły pozwalają. Grubo błądzi, kto jednego dnia chce za cały tydzień odpracować, kto w nocy chce odrobić to, czego dla jakich błachych może przeszkód we dnie nie dokonał. Nie tylko, że praca taka będzie nic nie warta, ale i zdrowie przez to niemały uszczerbek poniesie.

Lecz jeżeli zupełnie zdrowemu robotnikowi nie wolno bezkarnie nadużywać swoich sił, to tem bardziej takiemu co do zdrowia przychodzi. Tu jedna chwila o całem życiu stanowić może. Powracający do zdrowia, podobni są do dzieci i na równe względy jak one zasługują.

Mówiąc o dzieciach, nie możemy pominąć innej jeszcze kwestji. Za granicą surowe prawa wzbraniają dzieci małoletnie obarczać ciężką pracą, u nas, ledwie chłopię od ziemi odrośnie, wnet wprzęgają je do młotka i kowadła, całe dnie trzymają nad warsztatem szewckim lub krawieckim, odmawiając mu tego co każdy człowiek, a tem bardziej dziecko, koniecznie potrzebuje: t. j. swobody, powietrza i nauki. Pomijając, że postępowanie takie jest nieludzkie i tyrańskie, zwrócić musimy uwagę, że jest ono zabójcze, tak dla osób, których bezpośrednio dotyczy, jak dla następnych pokoleń, którym te ostatnie dadzą życie. Chłopaków kilkuletnich należy bez-wątpienia wdrażać i zachęcać do pracy, lecz nie godzi się ich czynić jej niewolnikami, bo i praca i życie samo im obmierznie, a w trunkach i szkodliwych namiętnościach będą szukali pociechy w swych strapieniach.

Większa część chorób ztąd pochodzi, że nie umiemy zachowywać swego zdrowia, nie znamy najprostszych zasad hygjeny.

Ciemnota jest największym naszym nieprzyjacielem i ona to najwięcej szkód nam zrządza.

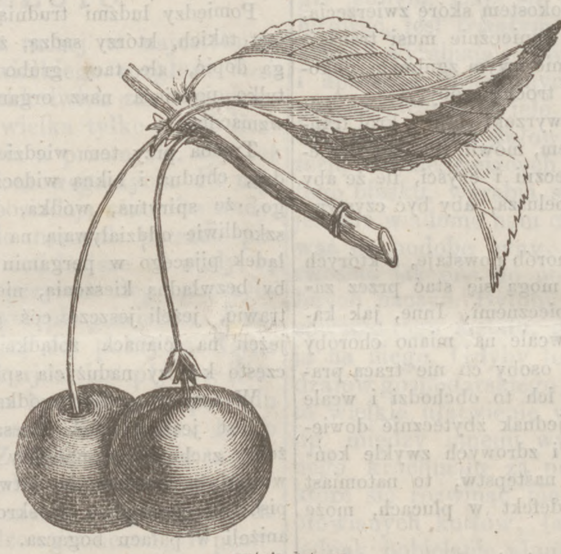
— Ależ, powiecie, możnaż się nam uczyć cały dzień pracując? Przecież potrzebujemy chwili odpoczynku, by wzmódz się na siłach i do nowej przysposobić się pracy?

— Tak, lecz praca ducha nie przeszkadza odpoczynkowi ciała i odpoczywając wybornie można się uczyć. Umysł nasz zresztą równie potrzebuje pracować, bo i on nawet ulega zepsuciu, jeżeli go w bezczynności pozostawimy.

Zaiste, po dziennej pracy, nic właściwszego nie pozostaje dla robotnika, jak zająć się kształceniem umysłu. Praca bowiem umysłowa jest najlepszym i najzdrowszym odpoczynkiem ciała.

WIŚNIA.

Wiśnia zwyczajna sprowadzoną została z Azji do Włoch przez Lukullusa Rzymianina na lat 60 przed narodzeniem Chrystusa. Obecnie powszechnie hoduje się w ogrodach zachodniej i południowej Europy, rzadziej już spotyka się na Wschodzie i Północy; jest drzewem niewielkiem, 16 stóp lub nieco więcej dorastającem. Gałęzie ma rozłożyste, a cieńsze gałązki zwisłe. Liście jajowate lub przewrotnie jajowate, mniej więcej spiczaste, z obudwu stron gładkie i lskniące się, na brzegach nieregularnie piłkowane, ciemno-zielone. Ogonki liściowe nie mają gruczołków. Kwiaty białe, prawie razem z liśćmi rozwijające się, zebrane w baldaszki bardzo krótkoszypułkowe. Płatki korony z wierzchołku wycięte. Owoc czyli wiśnie prawie kuliste, po dojrzeniu ciemno-czerwone, prawie czarne—kwaśne. Tak opisuje wiśnię zwyczajną professor Jakób *Waga*. *Strumiło* zaś w swoich „*Ogrodach północnych*" powiada: że wiśnia ziemi gnojnej nie lubi, lepsze są dla niéj ziemie piaszczyste, aby niezbyt suche; puszcza od korzeni wiele dzików, które obcinane być powinny, albo oddzielane dla przesadzania. Rozmnażanie krajowych wisien łatwe jest z pestek zasianych, szczepione, łączone lub oczkowane być muszą, aby zachowały swoje przymioty, z tem jednak zastrzeżeniem, że kwaśne na pieńkach owocu kwaśnego, słodkie zaś na słodkich szczepione być muszą. U nas pospolicie kwaśne wiśniami, a słodkie trześniami zowią.



Wiśnia łutowa

Bardzo wiele jest odmian wiśni hodowanych w ogrodach, odznaczających się wielkością owocu, jego kształtem, smakiem, kolorem i innemi własnościami. Do dobrych gatunków należą:

1) Wiśnie zwyczajne. 2) Wiśnie wczesne czyli ranne. 3) Wiśnie łutowe, wyobrażone na rycinie powyższéj. 4) Wiśnie z pełnym kwiatem. 5) Czereśnie S-to Jańskie. 6) Czereśnie łutowe, białe i czarne. 7) Trześnie czyli czereśnie Hiszpańskie czarne. 8) Czereśnie Francuzkie różowo-pstre mięsiste. 9) Czereśnie Niemieckie największe i t. p.

Dodać winniśmy: iż professor Wojciech *Jastrzębowski* znajdował w rozległem lesie między Ostrowcem a Siennem w powiecie Sandomierskim, wiśnie zwyczajne hodowane w ogrodach. *L.*

Myśli i Zdania.

— Być umiarkowanym zawsze i wszędzie, jest to mądrze żywotem swoim rozporządzać.

— Przesycenie czy rozrywką czy jadłem lub napojem, jedne sprowadza następstwa: nudy i niesmak.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.